

ANNA KARBOWNIK

CZARNA LEGENDA
CZEŚĆ I

ARCHANIOŁ



ENTERPRISE

LUBLIN 2018

30 maja anno Domini 1478. Segowia

Na wydarzenia dzisiejszego dnia szykowano mnie już od kołyski. Dziś skończyłem czternaście lat i zgodnie z wolą ojca mam wstąpić w szeregi mnichów – dominikanów z tutejszego klasztoru. Od rana w domu panował rwetes, wszyscy się gdzieś spieszyli, mama przypominała sobie o stu rzeczach naraz, ojciec udzielał mi upomnień po raz nie wiem który, a służba krzątała się bez opamiętania wśród kilku, dosłownie!, moich bagaży, jakby ich było znacznie więcej.

Obie moje siostry – Maria i Luiza – płakały, chociaż ojciec ostro za to na nie nakrzyczał, bo jak powtarzał, powinny się cieszyć, że ich brat będzie służył Bogu. Ale one wiedziały swoje. Niestety, ja również...

W końcu moje bagaże znalazły się w powozie, podobnie jak trzy potężne skrzynie mego posagu: skromnego daru mego głęboko wierzącego ojca dla miejscowych dominikanów. Pożegnałem się z siostrami i dwoma braćmi – Silvio i Federigo – którzy usiłowali ukryć przed ojcem i przede mną wzruszenie, podziękowałem służbie za dotychczasową dobrą i lojalną pracę, ogarnąłem ostatni raz wzrokiem nasz przepiękny, duży dom otoczony gigantycznym ogrodem i wraz z rodzicami wsiadłem do powozu.

Szloch dławił mnie w gardle tak bardzo, że ledwie mogłem oddychać, ale zaciskałem zęby z całych sił, aby się nie rozpłakać. Za nic nie chciałem sprawić ojcu zawodu swoim zachowaniem, okazując mu, że po stokroć wolałbym zostać w domu, niż zamykać się za klasztornym murem. Winienem mu posłuszeństwo i lojalność, i to nie podlegało żadnej dyskusji. Za to matka płakała całą drogę, a uciszanie jej przez ojca przynosiło efekt odwrotny. Ojciec, widząc to, przestał się w ogóle odzywać i większość drogi pokonaliśmy w milczeniu. Tylko kopyta koni wesoło stukwały po bruku, piach chrzęścił pod kołami powozu, od czasu do czasu bat zaświszczał w powietrzu, przechodnie rozmawiali na

ulicy, a wiatr unosił ten gwar beztroski prosto w otwarte, choć zasłonięte firankami okna naszego powozu.

Jakże zazdrościłem tym wolnym ludziom na ulicy! Każdemu z nich – od uśmiechniętego szlachcica spacerującego po porannej mszy po żebraka nurzającego się w rynsztoku, wyciągającego brudne, kościste dłonie po okruch chleba. Każdemu zazdrościłem. Tego, że może decydować sam o sobie, że może iść, dokąd zechce, robić, co zechce, bez konieczności tłumaczenia się z każdego kroku wszystkim dookoła. Mnie zakuto w kajdany jeszcze przed moim urodzeniem. Żyłem z nimi na rękach i nogach czternaście lat, a dziś wieziono mnie złotym powozem do więzienia, w którym miałem pozostać już po wsze czasy, związany jeszcze cięższym i poważniejszym brzemieniem...

Urodziłem się jako najmłodszy z pięciorga rodzeństwa w bogatej rodzinie szlacheckiej. Moja matkaomal nie umarła, wydając mnie na świat. Były jakieś komplikacje przy porodzie i lekarze wezwali mojego ojca, aby pożegnał się z nią, bo ich zdaniem, jeśli urodziłbym się żywy i jeśli matka w ogóle przeżyłaby ten poród, to chyba tylko cudem. Ale ojciec zdenerwował się na lekarzy, kazał im nas oboje ratować za wszelką cenę, a sam pobiegł do domowej kaplicy i modlił się całą noc. To właśnie wówczas obiecał Bogu, że jeśli moja matka i ja przeżyjemy, dziecko, bez względu na płeć, zostanie oddane służbie Bogu i w dzień czternastej rocznicy narodzin wstąpi do klasztoru. Nie wiem, czy to Bóg wysłuchał modlitw ojca, czy lekarze się mylili w swoich diagnozach, czy też tak po prostu miało być, w każdym razie urodziłem się całkiem zdrowy, a matka, choć osłabiona porodem, także czuła się dobrze. Tym samym los mój, jeszcze w łonie matki, został przesądzony...

Od najmłodszych lat powtarzano mi, że będę mnichem i że nie dla mnie uciechy tego świata. Ja mam spłacić dług, który ojciec zaciągnął u Boga w noc moich narodzin. Nie pozwalano mi się bawić, ale uczono modlitwy i rozwagi. Nie brałem udziału w życiu towarzyskim jako nastolatek, nie wolno mi było wychodzić z mojego pokoju podczas hucznych przyjęć i bali organizowanych często w naszym domu. Miałem zapomnieć o życiu doczesnym. Na zawsze.

Rzecz jasna mnie nikt o zdanie nie zapytał! A prawda jest taka, że nigdy nie czułem ani nie czuję w tej chwili szczególnego powołania do służby Bogu. Chociaż wierzę w Niego całym moim czternastoletnim sercem, to zawsze marzyłem o świeckim życiu. Ileż ja dałbym za jeden bal! Za beztroską zabawę! Za swobodny wybór lektur! Za wolność...

Odebrałem klasyczne wykształcenie, jak moje rodzeństwo. Ojciec wyjątkowo skrupulatnie o to zadbał. Ale że miałem wstąpić w szeregi

oczytanych i wykształconych dominikanów, oprócz zwykłych przedmiotów dwóch nauczycieli uczyło mnie dodatkowo teologii i historii Kościoła Katolickiego. I muszę przyznać, że zwłaszcza ten drugi przedmiot był nawet ciekawy. Tyle że ja nie umiałem nigdy skupić się na nauce! Gdy nauczyciel czytał mi fragmenty Pisma Świętego, moje myśli, miast kierować się ku Bogu, podążały w zupełnie innym kierunku: ku zabawie, przyjaciołom, których nie wolno mi było mieć, ku wolnemu światu. Ciągle więc musieliśmy powtarzać lekcje, trzeba mi było tłumaczyć coś od początku, bo bez przerwy gubiłem się w zawiłych wątkach dysput teologicznych. Ojciec karmił mnie, będąc przekonany, że surowe kary i napomnienia wybiją mi z głowy głupoty. Ale chociaż cierpiełem to, że go zawiodłem, że ciągle zawodziłem go w jego wobec mnie oczekiwaniach na każdym niemal kroku, chociaż ciężko bolały mnie zarządzane przez niego kary cielesne, nijak nie mogłem zmusić mojej głowy do głębokich przemyśleń o wieczności i naturze Stwórcy. A teraz jechałem na spotkanie swego losu, który mój ojciec zaplanował, a ja musiałem wypełnić.

Przekroczyliśmy mury miejskie i za niedługą chwilę powóz nasz zatrzymał się przed główną furtą klasztorną. Po plecach przebiegł mi lodowaty, nieprzyjemny dreszcz...

Pierwszy wysiadł z powozu ojciec, a potem pomógł wsiąść matce. Na końcu ja, ociągając się, jakby mnie mieli prowadzić na tortury, postawiłem swoje stopy na wyłożonym chochlakami¹ chodniku przed furtą Convento de Santa Cruz la Real w Segowii. Czy istotnie będzie to miejsce mego duchowego rozwoju, przemiany, w którym wreszcie zrozumieć, że droga wyznaczona mi przez ojca wiele lat temu była jedyną właściwą i słuszną? Moje serce pełne było obaw, a mój wewnętrzny głos krzychał z całych sił, bym uciekał spod tych murów, jak najdalej i jak najszybciej, co przejmowało mnie zgrozą. Ale czyż miałem jakiś wybór?...

Służący zdjęli z powozu moje bagaże i skrzynie posagu wypełnione po brzegi złotem. Matka uściśnęła mnie mocno, cała we łzach. Ona też nie miała nic do powiedzenia. Czułem całym sobą, że chciałaby, abym pozostał w rodzinnym domu, kiedyś nawet słyszałem, jak spierała się o to z ojcem. Ale on rządził w naszej rodzinie twardą ręką i nie znoślił, gdy mu się sprzeciwiano. Poza tym złożył obietnicę Bogu, a taka obietnica to niepisana umowa na całe życie. Bóg słowa dotrzymał, żyłem i moja matka także żyła. Teraz ojciec musiał dotrzymać swojego. Ja

¹ chochlaki – otoczaki, małe, gładkie kamyki w kolorze białym i czarnym, układane na ziemi na sztorc w przeróżne mozaiki (przyp. aut.).

zaś byłem w tej umowie jedynie towarem handlowym. Jeśli słowa te są bluźniercze, wybacz mi, Boże, moją pychę. Jednak prawdą jest, że stojąc na nierównym chodniku dwa metry od bram klatki, w której miałem dać się za chwilę zamknąć, właśnie tak myślałem.

Ojciec polecił przynieść sługom skrzynie pod samą furkę, a mnie uściśnął po męsku: krótko i szorstko. Żegnałem się z nim na całe jego i moje życie, ale nawet w takiej chwili nie potrafił wykrzesać z siebie ani krzty czułości. Jak zawsze.

Podeszliśmy do furki. Była okazała, kuta z żelaza, dwuskrzydłowa. Otaczał ją niedawno wykuty w murach, ufundowany przez parę królewską: Królową Izabelę i Króla Ferdynanda, portal o tak bogatej ornamentyce, że można byłoby i miesiąc mu się przyglądać, z każdym dniem odnajdując na nim szczególnie niezauważony wczoraj. Na środku widniał ukrzyżowany Chrystus, jak żywy, przed którym klęczeli inkwizytorzy. Jednym z nich był święty Dominik Guzman, założyciel zakonu dominikanów. Inkwizytorzy trzymali krzyż z dwóch stron, za nimi zaś znajdowały się tablice herbowe: Królowej, pochodzącej z Kastylii, i Króla, który wywodzi się z Aragonii. Miało to, jak mniemałem, oznaczać, że para królewska strzeże świętej wiary katolickiej. Nie do końca rozumiałem, dlaczego na płaskorzeźbach widnieją inkwizytorzy, ponieważ w Kastylii nie ma Inkwizycji, ale widać miało to jakieś znaczenie symboliczne. Poniżej pod krzyżem wykuto psy walczące z kotami. A wszystko okalały wielokrotnie motywy łodyg i liści wyginających się w esy-floresy, figury świętych, kwiatów, wstęgi, szarfy, czyjeś dłonie, winorośle, twarze aniołów, kwiaty lilii. Zaniemówiłem z zachwytu, podziwiając to absolutne piękno i nieprzebrane bogactwo form i kształtów, i na chwilę całkiem zapomniałem, gdzie jestem.

Portal skończono wykuwać zeszłej jesieni, a pracowało nad nim kilku rzeźbiarzy ponad trzy lata. W mieście mówiło się, że Królowa Izabela ufundowała ten portal z sympatii do przeora klasztoru, ojca Tomása de Torquemady. Kiedy cztery lata temu uciekała z oblężonego przez jej przeciwników politycznych Villareal, kiedy nie była jeszcze Królową, a jedynie pretendentką do tronu Królestwa Kastylii, znalazła schronienie właśnie w Segowii, w starym arabskim zamku warownym. To *padre*² Torquemada przekonał władze miasta, że należy ją chronić, bo będzie kiedyś wielką Królową i zjednoczy kraj rozbitą po niedawnej i nie do końca przeprowadzonej rekonkwiescie. Trwała wówczas

² *padre* – z hiszp. ojciec, ksiądz, rodzic; słowo etymologicznie pochodzi z łaciny, gdzie *pater* znaczy ojciec (przyp. aut.).

wojna domowa o tron, a skąd przeor klasztoru miał takie informacje o księżniczce Izabeli, nie mam pojęcia. Fakt jest faktem, że Segowia udzieliła jej schronienia. Tego samego roku Izabela Kastylijska została Królową, a rok później dokonała zjednoczenia Kastylii z Aragonią, wychodząc za mąż za dziedzica tronu Królestwa Aragonii – króla Ferdynanda. Z wdzięczności za okazaną jej pomoc Królowa do dziś opiekuje się Segowią, a zwłaszcza opactwem Santa Cruz. W noc ucieczki Izabeli Torquemada przybył ponoć do zamku i długo rozmawiał z księżniczką. Za dwa miesiące koronowano ją na Królową, a ceremonia ta odbyła się na Plaza Mayor w Segowii. W ramach podziękowania Izabela ufundowała renowację klasztornego kościoła. Odtąd klasztor Santa Cruz, czyli Świętego Krzyża, ma w nazwie słowo „Real”, co oznacza Królewski Święty Krzyż.

Zdecydowane szarpnięcie przez mego ojca sznurem wiszącym przy furcie i dźwięk dzwonka, który rozbrzmiał po drugiej stronie, boleśnie i gwałtownie wyrwały mnie z tych wspomnień. Za jakąś minutę, może nieco dłużej, bo w tamtej chwili czas biegł dla mnie inaczej niż zazwyczaj, jedno skrzydło furty otworzyło się i pojawił się w nim brat furtian. Był to młody, bardzo przystojny, wysoki dominikanin, który powiódł oczami po naszej trójce. Twarz miał tak spokojną i łagodną, że może mi się wydawało, a może naprawdę obawy i strach zaczęły mnie opuszczać.

Brat furtian uklonił się przed nami, pochylając głowę, i przedstawił się:

– Jestem brat José Mavineo de Alvarez. W czym mogę pomóc? – zapytał z nieudawaną uprzejmością i grzecznością w głosie.

Mój ojciec przedstawił nas, a potem powiedział, że jestem nowym nowicjuszem, że rozmawiał już w tej kwestii z czcigodnym ojcem przeorem. Brat José uśmiechnął się, jakby naraz przypomniał sobie, że istotnie miał się dziś zjawić przyszły nowicjusz. Poprosił, aby słudzy wnieśli skrzynie posagu i moje bagaże za mury, i w tym celu otworzył drugie skrzydło furty.

Kiedy skrzynie sprawnie zniknęły z chodnika za murem klasztoru, jeszcze raz ucałowałem matkę, która uczyniła mi na czole znak krzyża. Podziękowałem także ojcu i matce za całe moje dotychczasowe życie. Brat furtian szerokim gestem zaprosił mnie do środka. Biorąc głęboki wdech i zaciskając ze strachu powieki, wbrew sobie przekroczyłem wolno i niepewnie klasztorne podwoje. Brat José pożegnał się jeszcze z moimi rodzicami, dziękując im za ten wielki dar dla klasztoru, a mnie zastanawiało, czy ma na myśli mój nowicjat czy posag, a następnie zamknął oba skrzydła żelaznej furty.

Nie ma odwrotu! – pomyślałem.

Zbierałem się, aby nieść moje bagaże, ale brat José powstrzymał mnie:

– Zostaw to tutaj, Antonio. – Uśmiechnął się. – Później się tym zajmujemy. Teraz muszę przedstawić cię przeorowi, ojcu Tomásowi de Torquemadzie. Jest w tej chwili co prawda zajęty, ale może cię przyjmie. – To mówiąc, ruszył przed siebie alejką wyłożoną białymi i czarnymi, wypłukanymi przez wodę otoczkami ułożonymi na sztorc w przeróżne wzory.

Ruszyłem za nim i cieszyłem się cudnymi widokami, jakie co krok ukazywały się moim oczom. Od furty prowadziła nas kamienista alejka o długości jakichś pięciu lub sześciu metrów. U jej kresu, przed nami w oddali, widziałem dziedziniec, fontannę, a za nią kościół. Po obu stronach alejki witały mnie dwa rzędy kolumn zwieńczonych blokami piaskowca, z których nad alejką zwieszały się na kształt sklepienia poplątane gałęzie i pędy kwitnących, ciemnoróżowych róż o pełnych, ale drobnych kwiatach. Słodki i ciężki ich zapach przywitał mnie jeszcze za furką po tamtej stronie murów. Tutaj zaś przesycił powietrze, nie pozostawiając miejsca na żadną inną woń.

Kiedy znaleźliśmy się na końcu alejki, a przed nami otworzył się dziedziniec z szmerzącą coś cicho fontanną, ujrzałem zbudowane z ciepłego piaskowca miejsce: jasne, wypełnione zielenią i wesołym słońcem, które pachniało różami, kwiatami drzewek pomarańczowych i cytrynowych rosnących w różnych miejscach dziedzińca, o tej porze roku z wolna już przekwitających, miejsce ciche, sielankowe, domowe ognisko samego Boga Ojca...

I stałem tak z otwartymi ustami, płacząc nad pięknem tego miejsca, karcąc się w myślach za wszelkie obawy związane z moim tutaj przybyciem.

– Robi wrażenie, prawda? – Brat furtian przystanął obok mnie. – Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, stanąłem zachwycony w tym samym miejscu co ty i nie mogłem się ruszyć. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem na wspomnienie tego dnia, które musiało być dla niego przyjemne. – A teraz chodźmy, Antonio. Będziesz miał mnóstwo czasu na podziwianie piękna naszego opactwa. – To mówiąc, skręcił w prawo w bliźniaczą, acz o połowę węższą alejkę, także okoloną kolumnadą.

Nad nami zwieszały się róże, niektóre kolumny były nimi oplecione jak bluszczem. Zerkając spomiędzy nich na zalany słońcem kościół, który zapierał dech w piersiach. Szliśmy w przyjemnym cieniu, po prawej stronie mijając drewniane drzwi.

– To dormitorium – brat José uprzedził moje pytanie. – Ma dwa poziomy i składa się z segmentów. Cele mnichów znajdują się na pierwszym piętrze, nowicjuszy – na parterze. W większości. Z wyjątkiem brata Álvaro, który mieszka na dolnym poziomie, i celi przeznaczonej dla nowicjusza brata Armanda, która znajduje się na pierwszym piętrze.

Rozejrzałem się po dormitorium. Rzeczywiście, przy każdym z segmentów ustawionych ciasno obok siebie biegły kamienne schodki na górę i mała galeryjka na pierwszym piętrze, czy też balkon, cokolwiek to było. Zastanawiałem się, dlaczego ów brat Armand musi mieć swojego ucznia na tym samym piętrze i kim on jest, że przeor zgadza się na takie łamanie reguł.

– A kim jest brat Armand, że przeor traktuje go tak wyjątkowo? – zapytałem.

Brat José spojrział na mnie poważnie i powiedział krótko:

– Dowiesz się.

Alejka poprowadziła nas dalej w lewo, wciąż wzdłuż dormitorium. Brat José zatrzymał się za drugimi, licząc od zakrętu, ciemnobrązowymi drzwiami z litego drewna zwieńczonymi ostrołukiem. Obok, w ościeżach grubych murów, umieszczone były dwa wąskie okna, także zakończone w górze ostrymi łukami. I, co najbardziej mnie zdziwiło, ozdabiały je witraże. Zważywszy, jak misterną, precyzyjną i czasochłonną, a przez to drogą robotą są witraże, nic dziwnego, że widuje się je tylko w kościołach. Po raz pierwszy w życiu widziałem je w oknach tak zwyczajnego budynku, jakim jest dormitorium! Klasztor ten naprawdę musiał być bogaty i nie ulegało wątpliwości, że Królowa rzeczywiście bardzo ceni ojca Torquemadę!

Brat furtian otworzył drewniane drzwi i weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia oświetlonego jedynie światłem przechodzącym przez jeden z owych kolorowych witraży, które widziałem na zewnątrz. Było tu chłodno i cicho. Po prawej stronie znajdowały się zamknięte na głucho okazałe dwuskrzydłowe drzwi drewniane, ozdobione ornamentami, którym jednak z racji półmroku panującego w holu nie bardzo mogłem się przyjrzeć.

– To gabinet przeora – szepnął brat José, wskazując na owe ozdobne drzwi.

Kiwnąłem w odpowiedzi głową. Tymczasem brat furtian podszedł do uchylonych do połowy, niewielkich w porównaniu z gabinetem przeora, drzwi znajdujących się naprzeciwko wejścia do holu. Uszedłem za nim parę kroków i mogłem się przekonać, że i te drzwi zdobyły ornamenty: płatanina liści i kwiatów, które bardziej przypominały

haftowaną koronkę niż płaskorzeźbę drewnianą. W szparze pomiędzy uchylonym krańcem drzwi a futryną mogłem zobaczyć siedzącego za olbrzymim biurkiem drobnego, starszego mnicha, całkowicie pochłoniętego lekturą opasłej księgi.

– Witaj, bracie Pedro – pozdrowił go brat José, wchodząc do środka pokoju starszego człowieka.

Brat Pedro uniósł wzrok znad starej i zakurzonej na krawędziach księgi i uśmiechnął się. Wstał zza biurka i wolno podszedł do nas. Był niewysoki, ale mimo swego wieku wciąż elegancki. Jego oczy pozostały poważne, mimo że twarz rozjaśniał uśmiech.

Brat José położył mi dłoń na ramieniu:

– To jest Antonio z rodziny García, nasz nowy nowicjusz – przedstawił mnie starszemu mnichowi. – Brat Pedro de la Fuente jest sekretarzem i skarbnikiem klasztoru a także księgowym, gdyż prowadzi wszelkie nasze księgi rachunkowe – dodał.

Skłoniłem się nisko przed bratem Pedro, a potem ciekawie rozejrzałem się po jego gabinecie. Pod wszystkimi ścianami stały regały, a na nich księgi: duże, grube tomiska, stare i zakurzone, niektóre tak bardzo, że nie było już widać koloru skóry na ich okładkach. Kilka z nich oprawionych było w drewno. Domyślałem się, że są to księgi rachunkowe, ustawione na półkach według jakiegoś klucza. Mniejsze tomy leżały na stole stojącym w głębi pokoju i gdzieś tam dość bezładnie w stertach na podłodze. Pod oknem stało owo duże biurko z rozłożoną okazałą księgą, świecznik, przybory do pisania i stos zapisanych kartek, niepokładanych i miejscami podniszczonych. Być może były to rachunki klasztoru, które ojciec Pedro wpisywał do księgi, a może coś zupełnie innego.

Gdy tak oglądałem to wszystko, dolatywały do mnie strzępki rozmowy brata José z sekretarzem klasztoru.

– Muszę przedstawić mu Antonia. – Brat furtian ściszył głos. – Trzeba mu przecież przydzielić celę, a bez patrona tego nie zrobię.

– Tak, przeor jest u siebie. – Ojciec Pedro pokiwał głową bezsilnie, ale z całkowitym zrozumieniem. – Od trzech godzin siedzą z bratem Armandem nad jakimiś mapami. Zamknęli się zaraz po śniadaniu. – Może mi się wydawało, ale słyszałem w głosie brata Pedra zniecierpliwienie i trochę złość. – Spróbuję tam wejść. Ale nie spodziewaj się, że was przyjmie od razu. Wiesz przecież, że jak przeor pracuje z Armandem, świat wokół przestaje istnieć.

Brat José pokiwał ze zrozumieniem głową. Zaciekały mnie owe mapy, nad którymi pracował przeor, i ów tajemniczy brat Armand,

którego jeszcze nie widziałem, a już tak wiele zdążyłem się o nim nasłuchać.

Ojciec Pedro wyszedł do holu, ja i brat furtian także.

– Może przeor powinien przydzielić Armandowi nowicjusza? – żartował brat José. – Wtedy zająłby się czymś pożytecznym.

Sekretarz zatrzymał się na te słowa w pół kroku, pochylił w naszą stronę i ściszej głośno do szeptu, powiedział ze śmiertelną powagą:

– Mam wrażenie, drogi bracie, że święci się tu coś poważnego. Obaj z przeorem zdają się być zaabsorbowani coraz bardziej sprawą, nad którą pracują. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale to coś wielkiego. Wczoraj przyszedł list od Królowej, prywatny, do Torquemady. Nie był adresowany do przeora Santa Cruz, ale do mnicha. Rzecz jasna nie znam jego treści, ale brat Tomás siedział z Armandem w gabinecie całą noc. – Brat Pedro westchnął. – Dlatego nie przypuszczam, żeby przeor przydzielił bratu Armandowi ucznia. A jeśli już, to tylko takiego, jak on. Wiesz, bracie, o czym mówię. – Spojrzał na furtiana porozumiewawczo. – Ten nowy chłopak, Ricardo de Deza, był tu wczoraj, już trzeci raz prosić, aby jego patronem był Armand, ale Torquemada odesłał go z kwitkiem. Patronuje mu brat Constantino – sekretarz zakończył swój wywód i podszedł do drzwi gabinetu przeora.

Zastukał w nie cicho, a potem wszedł do środka. Serce biło mi głośno z wrażenia, że zaraz poznam tak sławnego człowieka, jakim był w Segowii *padre* Torquemada. Po kilku chwilach sekretarz wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

– Tak, jak myślałem, przeor jest zajęty – brat Pedro powiedział to cicho, ale z przekąsem. – Teraz Antonia nie przyjmie, ale kazał mu tutaj zaczekać. Pytał o posąg, czy przywieziony.

– Tak. – Brat José skinął głową.

– Przeor polecił przynieść go tutaj. Mam przeliczyć jego wartość. – Brat Pedro stanął w progu swojego gabinetu.

Chciałem iść z bratem José po skrzynię, ale kazał mi czekać na wezwanie czcigodnego przeora. Sam zaś wyszedł z dormitorium.

Zostałem sam na sam z moimi na nowo odradzającymi się obawami, bo brat Pedro pogrążył się na powrót w swoich księgach, a ja nie chciałem przeszkadzać mu w pracy. Ale to, co usłyszałem przed chwilą o ojcu przeorze i coraz bardziej tajemniczym bracie Armandzie, który jawił się w mej wyobraźni równie niedostępny, co zimny w relacjach międzyludzkich, napawało mnie lękiem. Bo i cóż mogłem sobie pomyśleć o mnichu, który przez przeora traktowany jest w sposób szczególny, który odebrał celę mieszkalną innemu mnichowi, by umieścić tam swego nowicjusza,

którego koniec końców mieć nie zechciał; o mnichu, którego wiązała jakaś tajemnicza sprawa, którą dniami i nocami omawiał z przeorem, a w którą zamieszana była nawet Królowa Izabela, sprawa, przez którą nawet jego bracia z klasztoru nieszczególnie za nim przepadali – na ile zdążyłem się zorientować – i któremu na tej sympatii najwyraźniej nie zależało? Ów tajemniczy brat mnie przerażał... Bałem się go bardziej niż spotkania z przeorem. Jeszcze to imię: Armand. Dumne. Chłodne. Trochę aroganckie. Ono samo już budziło grozę. Próbowałem sobie wyobrazić, jak on wygląda, ale do głowy przychodziły mi same potworne obrazy, więc porzuciłem te myśli. Jedno mnie w tamtej chwili pocieszało: że nie będzie on moim patronem, bo nie chce mieć nowicjuszy. Myśl, że mógłbym być jego uczniem, przerażała mnie tak bardzo, że zacząłem dygotać. Nagle zapragnąłem znaleźć się na zewnątrz: albo za murami, albo w ogóle jak najdalej stąd.

I wtedy drzwi gabinetu przeora ktoś otworzył od środka i pozostawił uchylone. Dla mnie, jak się domyślałem. Spojrzałem pytająco na sekretarza siedzącego w głębi swojego pokoju za szerokim biurkiem, ale księgi pochłaniały całkowicie jego uwagę. Ostrożnie podszedłem do uchylonych drzwi gabinetu przeora.

– Wejść, Antonio – ze środka dał się słyszeć miły i uprzejmy głos.

Przestępując próg, zastanawiałem się, do kogo należy. Gabinet przeora był doprawdy olbrzymi! Pod trzema ścianami, poczynając od tej po mojej lewej stronie, a także pod ścianą naprzeciw drzwi wejściowych i po mojej prawej stronie, stały regały zavalone książkami, rulonami papierów, pudełkami, niedopalonymi świecami, stosami kartek, czystych i zapisanych, i całą masą innych szpargałów, Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego służących. W jednej ze ścian na prawo wykute było smukłe okno z witrażem, którego kolorowe szybki pograżały pomieszczenie w półmroku przeplatany barwnymi plamami światła, które kładły się na ścianach, sprzętach, posadzce z ułożonej różnobarwnej mozaiki, a nawet na naszych ubraniach. Na ścianie na lewo nad regałem wisiał duży drewniany krzyż, a na nim żelazna figura konającego Chrystusa. Na środku pomieszczenia stał duży stół, a pod oknem biurko z przyborami do pisania. We wszystkich zaś rogach gabinetu, na biurku, na stole, na regałach, dosłownie niemal wszędzie stały świeczniki, a migotliwe światło wielu świec sprawiało, że wewnątrz wydawało się ciepłe i jeszcze bardziej tajemnicze.

Na masywnym, ciężkim, drewnianym stole rozłożone były arkusze papieru: duży, kwadratowy, gruby arkusz, który, gdy podszedłem bliżej, okazał się być mapą Kastylii, Andaluzji, Aragonii, a nawet Grenady!

oraz inne, mniejsze mapy, zapisane kartki papieru, otwarte listy ze złamanymi pieczęciami i różne tym podobne rzeczy. Nad stołem zwisał z sufitu na metalowym łańcuchu wielki żyrandol w kształcie żelaznej obręczy, na górze której zatknięte były świece różnej wielkości i w różnym stopniu wypalenia. Długie, żółtawe sople wosku zwieszały się złowieszczo nad rozłożonymi mapami. To właśnie przy tym stole stali przeor Tomás de Torquemada i ów drugi mnich, brat Armand.

Pochyliłem się grzecznie przed starszym z mnichów, który, jak się domyślałem, był przeorem, i przedstawiłem się.

– Witaj, Antonio! – odpowiedział brat Torquemada i podszedł do mnie bliżej, wystawiając do ucałowania pierścień na jego prawej dłoni.

Była chuda i koścista, o nad wyraz długich palcach. Pokornie ucałowałem tę oznakę władzy w opactwie. Brat Armand w tym czasie pochylony nad stołem w ogóle nie interesował się moim przybyciem.

Przeor tymczasem zmierzył mnie uważnym, nieco smutnym, a nieco zaciekawionym spojrzeniem, w którym było coś hipnotyzującego. Miał poważne, skupione, ciemne oczy, które się nie uśmiechały. Zdradzały zaś przenikliwy i bystry umysł o wielkiej inteligencji. Przeor był ode mnie wyższy o głowę i niesamowicie chudy. Jego dominikańska kuta³ dosłownie na nim wisiała. Być może umartwiał się głodówkami, a to świadczyło, że traktuje ascezę i umartwianie się w imię Boga bardzo poważnie. Twarz także miał poważną i tak samo chudą, a jej skóra zdawała się ciasno przylegać do czoła i wystających kości policzkowych. Usta zaś były cienkie i sprawiały wrażenie zaciśniętych, a brak zmarszczek wokół nich mógł oznaczać, że brat Torquemada rzadko się uśmiechał.

Zastanawiałem się, ile może mieć lat, zwłaszcza że krótko ścięte włosy przetykała już siwizna, a i dłonie przeora nie były dłońmi młodego człowieka. Jedynie w oczach tlił się ogień. Ogromny, stale obecny, wszechogarniający ogień, który od razu zobaczyłem, gdy przeor pierwszy raz na mnie spojrział. I może mi się zdawało, ale był to ogień niszczący...

– Więc chcesz, mój chłopcze, zostać mnichem – przerwał ciszę brat Torquemada, wreszcie zdejmując ze mnie wzrok i podchodząc do stołu.

Dał mi ręką znak, abym i ja podszedł bliżej.

– Tak, *padre* – zapewniłem go, postąpiwszy w jego stronę parę kroków.

– Zobaczymy. – Przeor pochylił się nad mapami, jakby mnie w ogóle nie było w pokoju, a po chwili zapytał: – Czy wiesz, Antonio, jaki dziś mamy dzień? – Nie odrywał wzroku znad stołu.

³ kuta – habit zakonny (przyp. aut.).

– Niedzielę – odpowiedziałem zupełnie zdezorientowany.

– Tak. Ale pytałem o datę – przeor sprecyzował pytanie szorstkim głosem.

– 30 maja, *padre*. – Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

– A czy wiesz, Antonio, jak ważna to data? – brat Torquemada kontynuował to przesłuchanie, studiując wielką mapę. – Wiesz, co wydarzyło się 30 maja wiele lat temu? – dodał, zawieszając głos, i bez wątpienia chciał mnie sprawdzić.

Szybko przebiegłem w myśli znane mi ważne wydarzenia historyczne, ale żadne związane z dzisiejszym dniem nie przychodziło mi do głowy.

Brat Torquemada oderwał wzrok od mapy i spojrzał wyczekująco w moją stronę. Dostrzegłem w jego oczach rozczarowanie.

– No i cóż? – zapytał chłodno, jakby wiedział, że nie znam odpowiedzi.

– Nic nie przychodzi mi do głowy, ojciec – wyjąkałem ze wstydem.

Przeor podszedł wówczas do mnie i długo patrzył mi w oczy spojrzeniem ciężkim, ojcowskim i zawiedzionym.

– Czterdzieści siedem lat temu, dokładnie dzisiaj, Inkwizycja we Francji spaliła na stosie tę dziwkę, której się wydawało, że Bóg z nią rozmawia – powiedział ze złością, nawet nie starając się ukryć emocji, a widząc moje zdezorientowanie, dodał: – O Joannie d’Arc mówię!
– Przeor odwrócił się i zaczął chodzić po gabinecie.

Przyglądałem się, jak rzucane przez witraże kolorowe światło mieni się na jego białej kucie, ilekroć się poruszył. Przypomniałem sobie lekcje z historii Kościoła, na których istotnie mówiliśmy któregoś razu o Dziewicy Orleańskiej i jej widzeniach.

– O ile wiem, *padre*, została zrehabilitowana – powiedziałem niepewnie, zastanawiając się, czy w ogóle powinienem się odzywać.

Na dźwięk moich słów przeor zatrzymał się w pół kroku i razem z bratem Armandem spojrzeli po sobie. Zgroza była w tych spojrzeniach.

– Została – przeor przyznał poirytowany. – Bo przecież Karol VII nie mógł zawdzięczać tronu heretyczce! A ten przekupny idiota, Kalkst III, co zwał się papieżem, w 1456 roku uniewinnił tę dziwkę i obwołał męczennicą za wiarę!⁴ – Tym razem w głosie przeora była pogarda i wyrzut. I gniew.

⁴ Joanna d’Arc – Dziewica Orleańska, święta Kościoła Katolickiego, urodzona 6 stycznia 1412 roku w Domrémy-la-Pucelle we Francji, zmarła 30 maja 1431 roku w Rouen. W czasie wojny stuletniej Joanna stanęła na czele wojsk francuskich i przewodziła żołnierzom w kilku bitwach. Skutecznie ruszyła na odsiecz Orleanu i dzięki jej strategii i charyzmie miasto oswobodzono spod oblężenia Anglików. Poprowadziła też wojska francuskie do kilku

– Ale przecież papież Kalikst III... – zacząłem, ale przeor mi przerwał.
– To była heretyczka, zapamiętaj to, synu. – Podszedł do mnie i po ojcowsku oparł dłonie na moich ramionach. – Dziwka i heretyczka!

– Tak, ojcze – odpowiedziałem pokornie, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu się z nim spierać.

Zastanawiałem się jednak, dlaczego przeor nazywa ją dziwką, skoro jej dziewictwo zostało urzędowo poświadczone i co do tego nie ma wątpliwości w historii, ale wolałem się nie odzywać.

Tymczasem brat Torquemada otoczył mnie ramieniem, z pewnością także chudym i kościstym, jak cała reszta jego postaci, ale przez rękaw kuty dominikańskiej nie mogłem tego zobaczyć, i podprowadził jeszcze bliżej do stołu, przy którym stał brat Armand. Ów tajemniczy mnich spojrzał na mnie, ale w jego oczach było wiele ciepła i dobroci, więc moje dotychczasowe obawy pierzchły w jednej chwili.

– Dużo pracy przed tobą, Armandzie – zwrócił się doń przeor. – Powierzam ci wychowanie tego chłopca. – Popatrzył na mnie po ojcowsku i w zasadzie ciepło, ale twarz przeora, jak zdążyłem już zauważyć, nigdy się nie uśmiechała.

– Oczywiście – odpowiedział brat Armand i poznałem ów miły i uprzejmy głos, który zawołał mnie niedawno z holu do gabinetu. – A Ricardo de Deza? – zapytał. – Prosił kilka razy...

– Ricardo to dla ciebie pestka, Armandzie. – Przeor obszedł stół i stanął obok mego świeżo mianowanego patrona. – Jest w ciebie wpatrzony jak w obrazek, chociaż jest u nas dopiero kilka dni. Nie musiałyby go nawet uczyć. Uczyłby się sam. Zdecydowałem, że Ricardem zajmie się brat Constantino. Jest ostatnimi czasy przygnębiony, nie wiem dlaczego. A towarzystwo nowicjusza, zwłaszcza takiego jak Ricardo, dobrze mu zrobi.

innych zwycięstw. Joanna twierdziła, że objawił jej się Archanioł Michał, święta Katarzyna i święta Małgorzata, którzy przekazali jej wolę Boga, który chce, aby wyswobodziła Francję z rąk Anglików. Jej zwycięstwa w wojnie stuletniej umożliwiły Karolowi VII, pretendentowi do tronu, koronację na króla Francji. Przez cały czas Joanna utrzymywała, że posłał ją Bóg. Została schwyta przez Burgundczyków i przekazana Anglikom, którzy postawili ją przed sądem Świętej Inkwizycji. Jej słowa zostały uznane za herezję i Joannę skazano na spalenie na stosie. Wyrok wykonano 30 maja 1431 roku w Rouen. Trybunałowi przewodniczył biskup Pierre Cauchon. W chwili śmierci Joanna miała 19 lat. 24 lata później papież Kalikst III wszczął proces rewizyjny, a sąd kościelny uniewinnił Joannę i uznał męczennicą za wiarę. Joanna d'Arc jest do dziś uważana za bohaterkę narodową i patronkę Francji. W 1909 roku została beatyfikowana, a w 1920 roku kanonizowana. Jest dziś czczona w Kościele Katolickim jako patronka Francji, męczenników, ludzi wyśmiewanych za swą pobożność, jeńców, więźniów, ludzi walczących o niepodległość, żołnierzy i patriotów (przyp. aut.).

Brat Armand odpowiedział skinieniem głowy, a przeor przeniósł wzrok na mnie.

– A więc ustalone. Antonio, to jest twój nowy patron, czcigodny ojciec Armand Castellano de Corell. – Przeor wskazał na niego dłonią.

Pokłoniłem się grzecznie na powitanie mojemu mistrzowi. Gdy opuściłem głowę, na chwilę wzrok mój padł na dużą mapę, na której rozrysowane były miasta Hiszpanii z zaznaczonymi obok czarnymi krzyżami i datami przy każdym z nich. Nic mi to nie mówiło, ale udało mi się zapamiętać: Sewilla 1480, Ávila 1483, Cordoba 1482. Szybko uniosłem wzrok znad mapy.

– Jest mi bardzo miło, *padre* – powiedziałem do brata Armanda najgrzeczniej, jak umiałem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, a był to uśmiech szczerzy i miły. Mój mistrz był młody, mógł mieć jakieś trzydzieści lat, wysoki i szczupły, a wzrost dodawał mu powagi i elegancji. Ciemne włosy zaczesywał do tyłu i nie golił czubka głowy, jak mnisi, których tu widziałem. W panującym półmroku i kolorowych światłach nie mogłem z tej odległości dostrzec koloru jego oczu, ale nie były ani tak ciemne, ani tak chłodne, jak u przeora. Był przystojny i w niczym nie przypominał potwornych niedawnych moich rojeń. Był także uprzejmy. Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie przyjaźń ojca Torquemady i zwykła o nią zazdrość nie są przyczyną niechęci dla mego nowego mistrza ze strony brata José i brata Pedro.

– Ojczy, jeśli to wszystko, pozwolisz, że oddalę się z Antoniem? – zapytał przeora brat Armand, przerywając niezręczną ciszę. – Mamy wiele spraw do omówienia, a zaraz Anioł Pański.

– Naturalnie, Armandzie. – Przeor pochylił się nad mapami i dał nam ręką znak, że możemy odejść.

Mój patron uklonił się ojcu Torquemadzie, który, zajęty swoją zabawką, nawet nie zwrócił na to uwagi. Ja także się ukloniłem. Wyszliśmy z mistrzem do holu.

Przez ten czas, kiedy przebywałem w gabinecie przeora, skrzynie z moim posagiem, skromnym darem dla klasztoru, zostały już wniesione. Ich wieka otworzono, a brat Pedro z okrągłą, miedzianą tacą krzątał się pomiędzy kuframi wypełnionymi złotymi monetami. Nie miałem pojęcia, ile tego było, bo ojciec mój tego ze mną nie omawiał. Ustalił wszystko bezpośrednio z przeorem. Ale musiało być tego sporo, bo zakon dominikanów nie przyjmuje w swoje szeregi dzieci z biednych rodzin. Domagają się wysokiego posagu.

Brat Armand przeszedł przez hol, nie zwróciwszy uwagi na otwarte skrzynie. Pospieszyłem za nim.

Na zewnątrz uderzyło mnie rozgrzane powietrze i gęsty, namacalny niemal zapach kwitnących wokół nas róż. Szliśmy z bratem Armandem tą samą, co poprzednio z bratem José, alejką wśród kolumn zwieńczonych pnąciami kwiatów. Minęliśmy aleję prowadzącą do furty, skąd zabrałem swój bagaż. Brat Armand szedł dalej prosto, wzdłuż lewego skrzydła dormitorium, jak nas prowadziła kolejna alejka wyłożona białymi i czarnymi chochlakami i zwieńczona kwiatami róż. Kiedy spojrzałem pomiędzy kolumnami w stronę dziedzińca, zobaczyłem, że takie same rzędy kolumn opasane różami biegną wzdłuż całego dormitorium mającego kształt podkowy, od północy zaś obiegają apsydę kościoła i biegną jeszcze dalej, ale bryła kościoła zasłaniała dalszy widok.

W milczeniu, które z wolna zaczynało mi ciążyć, doszliśmy do miejsca, gdzie aleja zakręcała w prawo. Brat Armand wszedł na pierwsze piętro segmentu po niewysokich schodach i zawołał mnie, abym zrobił to samo.

– Jesteś na miejscu. – Mistrz przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi szeroko, wpuszczając do wąskiego korytarza światło dnia, a następnie wszedł do środka. – To moja cela. – Wskazał mi ręką drzwi po prawej stronie. – Tutaj twoja. – Brat Armand uszedł dwa kroki w głąb korytarza i pchnął drzwi do niedużego, ale przytulnego pokoju, leżącego dokładnie naprzeciwko jego celi, a potem wszedł ze mną do środka.

Pokój miał kształt kwadratu. Po prawej stronie od wejścia znajdowało się północne okno, pod nim prosty stolik służący za biurko, obok szafa drewniana. Naprzeciwko drzwi zaś stało pojedyncze łóżko, a obok niego wykute było zachodnie okno, pod którym na nocnej szafce stały przybory do mycia. Pod ścianą na lewo od drzwi ustawiony był sporych rozmiarów regał na książki, całkowicie pusty.

– Wiem, że jako syn szlachcica przywykłeś do innych wygód, ale dominikanie żyją skromnie. Jesteśmy zakonem żebrzącym – pouczył mnie mistrz. – Przyzwyczaisz się.

– Tak, ojciec – odpowiedziałem z pokorą, chociaż przyznaję, że ascetyczny i ubogi wystrój wnętrza nie nastrajał mnie optymistycznie, nawet jeśli spodziewałem się surowych warunków.

– Na łóżku leży biała tunika. Załóż ją na resztę dnia – instruował mnie brat Armand. – To nie jest jeszcze kuta nowicjusza, bo ceremonia przyjęcia nowych kandydatów do bractwa Santa Cruz odbędzie się za kilka dni, gdy dotrą do nas pozostali chłopcy. Do wszystkich mnichów

w klasztorze będziesz się zwracał „ojcze”. Do mnie możesz mówić także „mistrzu”. Tylko dominikanie po złożeniu ślubów mogą pomiędzy sobą nazywać się „braćmi”. Jak będziesz się zwracał do swoich kolegów nowicjuszy, to już ustalicie między sobą. – Mistrz rozejrzał się po mojej celi. – Rozpakuj się teraz, nie będę ci przeszkadzał. Pójdziemy za chwilę na modlitwę Anioł Pański. Usłyszysz dzwony. A po nabożeństwie zapoznam cię ze szczegółowym planem dnia obowiązującym w klasztorze. – Uśmiechnął się do mnie i tak samo, jak poprzednio przeor, teraz on położył mi dłonie na ramionach. – Cieszę się, Antonio, że będziesz moim uczniem. Postaram się być dla ciebie nauczycielem i jak najlepiej przygotować się do posługi Bogu. Gdybyś czegoś potrzebował, jestem u siebie. – To powiedziawszy, brat Armand wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Usiadłem na łóżku nieco oszołomiony wrażeniami. Pokój wydawał mi się przygnębiająco smutny, mały i mimowolnie kojarzył mi się z więzieniem. Otworzyłem szeroko północne, duże okno i długo wpatrywałem się w rozległe gaje oliwne rozciągające się w oddali, aż po horyzont.

Rozpakowałem swoje sprząty: kilka książek na pustym regale wyglądało komicznie, na szafce nocnej spoczęła Biblia, brewiarz, lekcjonarz i różaniec. Niewielką ilość bielizny położyłem w szafie na jednej z czterech półek, a na dole sandały na zmianę i cieplesze obuwie. Na biurku rozłożyłem przybory do pisania, pamiętnik, dodatkowy pojemnik inkaustu, zapas piór. Oto cały mój dobytek na resztę życia... Właśnie ta świadomość, że spędzę w tych murach resztę życia, napawała mnie grozą tak wielką, że strach dławiał mi gardło, a w oczach zjawiała się całkiem nieproszone lzy. Bezradnie rozglądałem się po celi, jakbym szukał jakiegoś ratunku z tej sytuacji. Ale przecież wiedziałem, że nadto dobrze, że żadna siła żadną miarą mnie od klasztoru nie wyratuje...

Przebrałem się w białą, cienką tunikę, długą do samych stóp, którą założyłem na samą bieliznę i przewiązałem ją w pasie sznurem, którą obok niej leżał. A teraz kończę pisać te słowa, gdyż biją już dzwony na Anioł Pański i patron mój zapewne czeka na mnie, by wprowadzić mnie w ten nowy, całkiem mi obcy, tajemniczy świat.